

## Opole, zapomniane dzieje.

To była ciepła, letnia noc. Jedną z tych, gdy matki i ojcowie kładą swe dzieci do łóżek mówiąc: „Dobranoc”, nieświadomi tego, iż to może być ich ostatnia noc.

Jedyną osobą, która jeszcze nie spała był Abdon. Jak zawsze, gdy nie umiał zasnąć, siedział na dachu swojego domu patrząc na gwiazdy. Młodego opolanina coś niepokoiło, sam nie wiedział, dlaczego srebrzysta tafla wijącej się szerokimi łukami rzeki wzbudzała w nim uczucie zaniepokojenia, a nawet lęku.

W końcu położył się na ciepłych dachówkach i zamknął oczy. Nagle, lekkie powietrze rozdarły potężne grzmoty armat. Stalowe kule cięły powietrze i przeszywały ściany kamienic zasypując ich mieszkańców i zamykając w pułapkach.

Abdon poderwał się i szybko wskoczył przez okno do swojego domu. Nikt już nie spał. Jego żona zbierała wszystko, co miała i ubierała dzieci. Jej małżonek nałożył swój pancerz i wyrzwał przez okno. Wielki, czarny jak noc okręt sunął powoli po wodzie. Nagle z wody wyburzyła się ogromna bestia, załopotana skrzydłami i wzbiła się w powietrze lecąc wprost na ich dom. Mężczyzna dobył swej szabli i uniósł ją w górę, lecz dziwaczne osiem nóg potwora rozdarło dach, który rozpadł się, jak gdyby był zrobiony z zapalek, a nie z drewnianych bali. Ostrze szabli złamało się, a wzrok wojownika powędrował ku leżącemu na szafie mieczowi jego zaginionego przed wieloma laty ojca. Złapał go pośpiesznie i zbiegł do stajni, żonę odsyłając w głąb miasta, a samemu skręcając w lewo i dmąc w róg będący sygnałem dla jego niewielkiego oddziału:

-Nad Odrę! Prędko! Nad Odrę - krzyczał.

Teraz stali kilkadziesiąt metrów od brzegu, on i jego mała armia utworzona z mieszczan, w tym jego przyjaciół, jak i ludzi, których nie znał w ogóle.

-Już jestem!- Dał się słyszeć głos Nikodema Splonki, miejscowego pijaczyny.

-Coś ty tu przytargał?!- Zapytał Abdon, widząc jego wielką strzeblę i czterech synów pijaka ciągnących za sobą działą.

-Mały prezent od żony.- Odparł.

Wielkie skrzydła rzuciły cień na ziemię, potwór zwrócił się w ich stronę. Wszyscy pochowali się z murami... a raczej za czymś, co było już tylko resztkami domów.

-Splonka!- Krzyknął młody dowódca, lecz było już za późno...

Nikodem stał zamrożony oddechem stwora...

Bitwa rozgorzała na dobre, na brzegi wyszły dziwaczne, zdeformowane stworzenia podobne nieco do goblinów z bajek, jednak znacznie szpetniejsze od nich.

Pierwsza linia obrony z Abdonem na czele ruszyła ku wyłaniającym się z wody potworom.

Noc mijała, czas płynął jak górski potok, a o północy ze statku zszedł wielki potwór, inny od pozostałych. Trzymał wielki topór z czarnego metalu, przecinający pancerze i łamiący nawet

hartowane miecze. W końcu i Abdon stanął przed monstrem. Pierwsze zetknięcie się miecza z toporem potwora sprawiło, że jego broń zajaśniała światłem wspanialszym, niżeli nawet księżycowa poświata w tę bezchmurną noc. Bohater poczuł, iż walczy już nie on, ale ktoś inny wstępuje w jego członki i rozcina brzuch potwora.

-Generał potworów zabity!- Rozbrzmiał radosny krzyk, a wtórować mu poczęły tysiące głosów.

-Hura! Niech żyje Abdon!- Ta radość została jednak przerwana szybko i nagle.

-Es tr morna sykra! Zbgra nz morna sykra!- Na burcie statku ujrzeli sylwetkę wielkiego potwora z mieczem dwuręcznym o symetrycznym ułożeniu igieł z czarnego metalu tworzących ostrze.

-Je es prena gnral!- Powiedział wojownik zeskakując na ziemię.- Je es Morekn Nestremel! Abdon dobrze rozumiał tę mowę, była straszna i okrutna. Bitwa rozpoczęła się na nowo, obrońcy wycofali się aż na ulice miasta, pod naporem tysięcy potworów i ich generała.

Abdon ruszył ku potworowi, wielkie skrzydła znów zasłoniły niebo. Bohater chwycił za włócznię wystającą z jednego z ciał i znów czując przyływ siły rzucił ją w latającą zmorę. Ostrze przeszło potwora odbierając mu życie, deszcz krwi obmył ulice miasta, a bestia spadła bezwładnie na ziemię. Ziemia zatrzęsa się od uderzenia i wojownik spadł z konia, podniósł się jednak szybko i ruszył do walki. Stanął oko w oko z generałem. Sparował pierwszy cios przeciwnika, a przeciwnik jego uderzenie. Wymiana cięć trwała długo. Abdon przebił w końcu brzuch potwora, a powietrze rozdarł wystrzał i krzyki radości. Abdon spojrzał są swoich ludzi, a oni umilkli widząc jego przestrzeloną pierś. Wbił miecz w ziemię i upadł na kolana. Zesztywniałe ręce trzymał na rękojeści, głowę opadała mu bezwładnie. W jego ustach brzmiał szept:

- Wszechmocy ojcze, który jesteś w niebie, już z rana wznoszę swe serce do Ciebie, byś mnie zachował od złego tej nocy i udzielił swej boskiej pomocy...

Urwał, spojrzał w niebo jaśniejące światłem nowego dnia, nie miał już sił, by mówić. Czuł ciepło słońca na twarzy. Twarz miał spokojną, lekko uśmiechał się.

Potwory zostały wyparte. Broń bohaterów została wbita w dno rzeki, wokół zatopionego statku, a miecz Abdona został umieszczony dokładnie w miejscu, gdzie ujrzano okręt.

Być może nawet teraz, po tylu latach, wędrując brzegiem Odry, będziecie czuć jeszcze zapach krwi poległych, a idąc przez ulice Opola, odczytacie wyrytą w kamiennych ścianach domów i na brukowanych ulicach, historię Abdona Zwycięzcy i jego towarzyszy. Może usłyszycie jeszcze cichy szept Odry opowiadający o przybyciu do Opola tajemniczego osobnika.

Jeśli jednak nie macie tak wyczulonych zmysłów, nie słyszycie głosu dzieci bawiących się na ulicach i nie poczujecie zapachu nędzy średniowiecza. Jeśli więc nie możecie zasmakować w wytrawnych danach ze stołów bogatych kupców, to chociaż wsłuchajcie się w słowa mojej

historii. Wiedźcie również, że tylko dzięki niej usłyszycie o znów o Abdonie.

Tego rana miały trzy dni od śmierci Abdona. Jego syn Walenty wstał późnym rankiem, umył się, ubrał i pośpiesznie ruszył na budowę - co jedni zniszczą, inni później muszą naprawiać! Miasto tętniło życiem. Opole nigdy nie widziało takich zabaw jak w noc po bitwie: śmiechy, wino, kuropatwy, dziki, a wszystko pochłonięte w jedną noc. Po takim obżarstwie nikomu nawet nie chciało się wstawać od stołu. Walenty jednak nie cieszył się z innymi, długo po pogrzebie poległych stał jeszcze bezradnie nad grobami. Ale wreszcie i on musiał wrócić do domu i wyspać się przed pracą. Jakiś czas potem, chłopak minął wielki stół ustawiony na środku jednej z ulic i dotarł do kuźni.

-Dziś nikt nie pracuje.- Dobiegł go głos Kowala.

-Jak to?!

-Jedno słowo- wódka.- Odparł krępy mężczyzna z czarną brodą, siedzący przy niewielkim stoliku.

-Ja jestem gotowy do pracy.

-Nie słyszałeś? Spadaj stąd!- Warknął, zwykle miły kowal, dziś jednak zbyt na to pijany.

Co by tu zrobić, skoro nie ma nic do roboty?- Myślał odchodząc - Może iść do karczmy, a może do Coni?- Conia, choć brzmi to trochę jak imię konia... było imieniem jego... Przyjaciółki? Kogoś więcej? Sam nie wiedział.

-Tak to dobry pomysł - Uznał z zadowoleniem chłopak, a jak pomyślał tak zrobił. Najpierw prosto i przez most potem, w lewo... a nie, jednak w prawo, teraz w lewo i prosto, a jej dom to ten z dachem z czerwonej dachówki, ten drugi, ten z ogrodem - o właśnie ten. Podszedł do drzwi i zapukał. Po chwili otworzyła mu młoda, czarnowłosa dziewczyna.

-Witaj Conio. – przywitał się grzecznie.

-Cześć. Wejdiesz do środka?

-A niby po co tutaj przyszedłem?- Zapytał żartobliwie chłopak.

Dziewczyna wpuściła go do domu, posadziła w pokoju z kominkiem i zaparzyła herbatę.

-Więc jak wam się wiedzie po ataku?- Rozpoczął konwersację.

-Nie jest źle.- Odpowiedziała dziewczyna, a po chwili dodała smutno.- Macie moje kondolencje.

-Dziękuję. Trzeba żyć dalej.

Nagle usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi.

-Mój brat. Wrócił za szybko, wyskakuj przez okno!- Szepnęła niespokojnie Conia.

Brat Coni był typowym siłaczem, który nawet na krok nie pozwalał zbliżyć się do niej żadnemu mężczyźnie.

Dopiero, gdy chłopak był w ogrodzie, zdał sobie sprawę z tego, że w rękach wciąż trzyma filiżankę z herbatą. Postawił ją na framudze okna i jak najszybciej ulotnił się z ogrodu. Poszedł jeszcze do karczmy napić się czegoś, co nie było wodą lub tym cholernym sokiem

jabłkowym, który jego mama zawsze kupowała... to znaczy zawsze wtedy, kiedy były w domu jakieś pieniądze. Zamówił więc kufel piwa.

Jakiś czas później wrócił do domu, a w nim zastał siedzącego przy stole mężczyznę w długiej pelerynie, z kapturem i mieczem u boku.

-Więc to jest Walenty.- Mruknął starzec.- Witaj, chłopcze.

-Walenty to jest Aux.- Powiedziała zmartwiona matka.

-Dzień dobry.- Przywitał się chłopak.

-Musimy porozmawiać.- Rzekł Aux, a pani domu opuściła kuchnię i zamknęła drzwi.

-O czym?- Zdziwił się chłopak.- O czym chcesz rozmawiać?

-O twoim ojcu.- Odparł spokojnie.- O Abdonie, w moich stronach zwanym już Abdonem Wielkim, czy Abdonem Zmroźcobójcą.

-Co to zmrozić i kim ty do cholery jesteś?!-- Warknął zdenerwowany chłopak.

-Jestem twoim nowym mistrzem, a ty od dziś jesteś Nonime.

-Jestem Walenty.

-To imię też możesz zachować, mnie nie obchodzi czy jesteś Nonime, czy Walenty Nonime.

-Wytłumaczysz mi, o co ci chodzi, czy mam wyjść?!

Nagle zamek w drzwiach się zamknął, choć jedyny klucz do drzwi nadal leżał na ladzie obok talerzy.

-Posłuchaj!-- Warknął rozkazująco przybysz - Jestem przedstawicielem Kręgu, kazano mi wymazać pamięć każdemu człowiekowi, który wie o bitwie, w której zginął twój ojciec, a ja w swej łaskawości postanowiłem nie zabierać ci wspomnień...

-Co?!-- Przerwał mu chłopak.

-Po pierwsze nie przerywaj mi, a po drugie siadaj i słuchaj, bo kończy mi się cierpliwość. Jutro nikt nie będzie już pamiętał o Bitwie. Nikt nie będzie opłakiwał twojego ojca. Tylko wy, czyli ty i twoja rodzina będziecie o tym wiedzieć.

-Dlaczego nam pomagasz?-- Zapytał chłopak już spokojniej.

-Biorę cię na ucznia, na trzy miesiące, a potem możesz robić co chcesz. Ja chcę tylko, abyś nie został całkiem zapomniany.

-Mówiłeś, że jesteś wysłannikiem Kręgu. Co to oznacza?

-To oznacza, że jestem członkiem grupy osób zajmujących się dbaniem o to, żeby nic cię nie zjadło podczas snu.

-Więc czemu nie uratowaliście mojego ojca?-- Zapytał chłopak.

-Nie wiedzieliśmy, że mają tu bramę.

-Kto?

-Chrianie.- Powiedział z obrzydzeniem w głosie przybysz.

-Gdzie leży Chrianie?

-Leży on daleko... nie tutaj... nie znajdziesz go na mapach... on jest innym światem.

-Jak to innym światem?

-Po prostu jest jednym z setek innych światów.

-Dlaczego nazwałś mojego ojca „Zmroźcobójcą”?

-Zmroziec to ta bestia, to takie duże coś, latające. Zobaczymy jutro.- Zakończył nowy mistrz wychodząc z pokoju przez jak się okazało, już otwarte drzwi.

Dzień minął Walentemu na pakowaniu się na drogę. Wyruszyli wcześniej - jeszcze przed świtem, a co było dalej? Nie wiem, wiecie jak trudno dowiedzieć się takich rzeczy.

W świecie nimf-fal historie rozchodzą się szybko i krążą po całym kontynencie, przez co właściwie nie umierają, gorzej jest z driadami czy z drzewami, one pamiętają długo, ale znalezienie drzewa, które pamięta tamte czasy, to jak trafić dwadzieścia razy pod rząd w totka. Teoretycznie, mógłbym zapytać mojej znajomej gwiazdy, ale ją jak się zaprasza na herbatę, to z trzyletnim wyprzedzeniem. Kiedyś nimfy-fale zaprosiłem ich do siebie i co to za bajzel wtedy był! Kubły- powywracane przez wiatr, dom zalany, bo jedna z nimf musiała zabrać swoją córkę ze sobą, i jeszcze ta driada, co wrosła w parkiet!

Wracając, któraś z driad usłyszała od siostry, że jedna z fal przyniosła historię pewnej starej nimfy. Otóż wyobraźcie sobie, że spotkała ona naszego bohatera w pobliżu rzeczki, w której mieszkała. Polował on z mistrzem na pomórniki, (ale nie na te ptaki pomurniki, tylko pomórniki). Gdy wsiedli na konie, nagle jeden z potworów wskoczył na rycerza Kręgu, ranił go i uciekł w las.

-Nie umieraj!- powtarzał błagalnie chłopiec, dopóki mężczyzna mu nie przerwał.

-Posłuchaj, ja jestem...- tu kaszlnął.- ja jestem twoim dziadkiem.

-Że co?

-Myślisz, że wybrałem cię przypadkiem- otóż, nie. Teraz jestem gotów by odejść, wszystko co było moje, teraz należy do ciebie. Żegnaj- ostatnim tchem dorzucił jeszcze: - Wnuku.

Na ścieżce roilo się teraz od żądnych krwi bestii. Nonime wskoczył na konia, musiał zostawić ciało dziadka na pastwę dzikiej puszczy. Jechał wzdłuż rzeki, całe szczęście ciekawska nimfa podążała za nim. Jechał cały dzień, a gdy zapadł zmrok z krzaków przy ścieżce usłyszał krzyki. Nie wahając się ani chwili, zeskoczył z konia i wszedł w gąszcz. Idąc za krzykami dotarł na polanę w środku lasu. Zaczaił się i próbując dostrzec cokolwiek, poczuł na karku oddech swojego konia, który parsknął.

-Kto tam jest?!- Rozdarł powietrze lekko ochrypły, męski głos.

Nic nie mówiąc, nasz bohater wyszedł z zarośli, a światło księżycyca rozjaśniło mroki. Dostrzegł mężczyznę stojącego z mieczem i leżącą obok postać.

-Odejdź, a nic ci się nie stanie!- Powiedział dumnie Walenty.

-Spadaj szczeniaku! Co znalazłem, to mam i jest moje! - Odparł mężczyzna.

-Ani myślę!- Wtedy mężczyzna podbiegł do niego i uderzył go w twarz tak mocno, że ten aż upadł.

-Won mi stąd!- Warknął do powalonego chłopaka, podszedł do kobiety i klęknął przy niej. Wtedy coś szarpnęło nim i odrzuciło daleko- Nonime lub jak kto woli Walenty Nonime, nie miał zamiaru się poddać. Zakręcił otrzymaną na treningu bronią, czyli niedużym hakiem na długim łańcuchu. Przeciwnik podniósł się z ziemi i rzucił się z mieczem na chłopaka, a on wypuścił z jednej ręki łańcuch tak, iż ten zawinął się wokół klingi i wyrwał mu miecz z ręki. Przeciwnik uciekł, chłopak przywołał swojego konia, a sam podbiegł do kobiety. Była brudna, a na dodatek ten ohydny człowiek zranił ją w ramię. Wziął ją na ręce i zaniósł do zimnego strumienia. Patrzyła na niego jakby bezwiednie i bezwładnie jak konający, usta miała otwarte. Czysta woda zmyła z niej całe błoto, kurz, krew i wszystko inne, czym była ubrudzona. Była jak filiżanka z chińskiej porcelany- słaba i delikatna. Jej czerwone włosy falowały niczym płomienie. Oparł jej głowę o duży kamień. Wtedy z jeziora wynurzyła się dziwaczna, kobieca postać, której suknia rozpływała się w wodnym nurcie. Z lasu wyszły driady w strojach z liści i kory. Olśniewająca pani podeszła do nich, uklękła na tafli wody i ucałowała kobietę w czoło i we trójkę stali się jednym umysłem, czuli jakby płynął przez nich strumień, jakby nim byli. Czuli jeden przerwany przez pocałunek strach i jedno uspokajające się bicie serca, słuchali jednej ciszy i płonęła w nich jedna i ta sama nadzieja.

Wydaje mi się, że to idealna chwila, aby wytłumaczyć wam, co to *Krąg*? Odpowiedź jest bardzo prosta Krąg to organizacja tajniejsza od Strefy 62... Nie słyszałeś o niej?- No właśnie.

Ale czas wracać do naszej historii. Gdy pierwsze promienie światła nowego poranka rozbłysły nad szmaragdowymi koronami drzew i obudziły chłopaka, spostrzegł on, że nadal leży w rzece. Wyszedł więc i rozejrzał się po polanie. Miecz wbity w ziemię, koń przywiązany przez kogoś do niedużego drzewka, które wyrosło nieopodal broni - to był niezwykle widok. Cała krew zniknęła. Z krzaków wyszła łania, cicho i spokojnie stała i skubała trawę. Teraz dopiero poczuł przejmujący głód. Chętnie pozostawiłby sarnę przy życiu, ale uratował kobietę i teraz był za nią odpowiedzialny, a koń był mu potrzebny. Zakradł się więc całkiem blisko, złapał za większy z dwóch ofiarowanych mu haków... lub może bardziej sierpów... i rzucił nim tak, iż ten przeciął gardło łani. Niektórym to może wydawać się straszne, ale to było bardzo humanitarne - szybkie i bezbolesne. Rozpalił ognisko i postanowił, że nie może przecież zostawić dziewczyny w rzece, aż do czasu przebudzenia. Więc najostrożniej jak umiał, wyjął ją z wody i położył na trawie koło ogniska. Gdy mięso było już prawie upieczone, dziewczyna obudziła się, podniosła się i przeciągnęła.

-Dzień dobry.- Przywitał się grzecznie i przyjaźnie, ale ona odsunęła się gwałtownie od niego, przestraszona.

-Kim jesteś?- Zapytała.

-Jestem nikim.- Stwierdził po krótkim zastanowieniu.

-Jak to nikim?

-A jak inaczej określić kogoś, kto nie wie im jest. Jesteś głodna?- Zmienił temat.

-Tak jestem.- Odparła, odbierając kawałek mięsa podany jej przez Nikogo.- Jestem Risuma.

-Piękne imię, ale raczej nie tutejsze.- Powiedział.

-Dziękuję.

-Skąd pochodzisz?

-Z wioski daleko stąd.

-Jak się tu znalazłaś?

-Porwali mnie, a wioskę spalili.- Łza spłynęła jej po policzku - przepraszam.

-Płacz nie jest niczym złym.

-A ty masz kogoś, komu na tobie zależy?

-Muszę to sprawdzić. Wracam do swojego rodzinnego miasta, do Opoli, może wyruszysz ze mną.

-I tak nie mam gdzie iść, więc czemu nie.

Tak zaczęła się ich wspólna podróż. Jechali wiele dni i wiele nocy, a gdy dotarli na miejsce Opole okazało się być wyniszczone i oblężone. Wszędzie stacjonowały wojska złożone z mieszkańców i nielicznych rycerzy zakonu, którzy zignorowali rozkaz mówiący o nieangażowaniu się w tę sprawę. Ktoś ukradł artefakt chroniący miasto - miecz rodzinny naszego bohatera.

-Jak wyglądał ten miecz?- Zapytał Nikt dowódcę oddziałów Kręgu.

-Z tego co wiem, to był wykonany z Jasnej Stali. W klindze miał dziurę w kształcie krzyża podobnego do tych, które nosili na tunikach templariusze.

To niewiele pomogło, wrócił więc do domu, w którym mieszkał teraz razem z Risą (skrót od Risuma) i swoją siostrą. Jej matka umarła, więc był jej jedynym opiekunem.

-I czego się dowiedziałeś?- Zapytała dziewczyna, gdy tylko wszedł do środka.

-Że to był miecz z dziurą w kształcie krzyża.

-Widziałam kiedyś taki miecz!

-Co? Kiedy? Gdzie?- Złapał ją z ramiona.

-Już wiem! Tam na polanie, ten łotr miał taki miecz.

-Dzięki!- Powiedział, ściskając ją.- Uhu hu!- Krzyknął pocałował ją w policzek i wybiegł z domu o mało co nie zapominając o koniu.

Zaskoczona tym dziewczyna, długo jeszcze stała osłupiała ze zdziwienia i szczęścia jednocześnie. Chłopak dotarł się do zgliszczy starego domu, znalazł wśród gruzów pustą pochwę i ruszył na polanę. Pędził tak szybko, że jak dotarli na miejsce, to koń mało nie padł z wycieńczenia. Chwała Bogu! – westchnął - miecz był wbity w ziemię. Światło księżyca przepływało przez dziurkę w ostrzu odbijającym i powielającym jak gdyby ów blask. Tę noc Nikt spędził na polanie. Spał spokojnie do czasu, aż nie obudziły go jakieś śmiechy. Wtedy rozejrzał się i ujrzał tańczące na rzece i w jej brzegu driady. Przygrywały im przy tym stojące

i podskakujące radośnie fauny. Głos fletów i śmiech driad był tak piękny, że chłopak na chwilę zatracił się w nim i zapomniał o wojnie, o strachu, o śmierci. Przypomniał sobie ostatnie święto zbiorów, na którym tańczył z Conią... no właśnie całkiem o niej zapomniał. Co z nią? Czy żyje?

Radosne melodie ucichły teraz, a zastąpiły je melancholijne śpiewy drzew brzmiące jak jakaś pradawna opowieść w akompaniamencie szumu wiatru i szmerów strumyka. Zasnął. Rano nie było już ani driad, ani faunów. Czy to był sen? Tego nie wiem. Wiem za to, że w tym samym czasie w Opolu rozgorzała ogromna bitwa. Gdy chłopak wrócił do miasta, dotarła do niego potworna wieść - Conia nie żyła... Jej ciało zabrała tajemnicza zjawa, przywódczyni wroga. Jedyne, co go pocieszało to to, że Risa i jego siostra żyły. Jeszcze tej nocy ruszył wspomóc ostatnią i jedyną linię oporu. Mijał zniszczone budynki, opustoszałe ulice, aż dotarł do brzegu Odry. Obrońcy nie mieli szans. Było ich zbyt niewiele przeciwko zbyt licznym. Mimo to ruszył do walki. Strącał jedna po drugiej głowy przeciwników. Nagle jego koń gwałtownie zahamował tuż przed taflą rzeki, a on został wyrzucony w powietrze. Złapał się burty okrętu i wspiął się na nią. Niemal natychmiast został zaatakowany. Wielki miecz miał mu już rozłupać czaszkę, gdy ostatkiem sił sparował cios i obrócił się uderzając przeciwnika ręką w bok. Gdy potwór upadł, chłopak zatoczył pełne koło, odcinając mu łeb.

-Kim żeś ty!?- Rozbrzmiał głos wysokiej kobiecej postaci.

-Conia? To ty?

-Ona nie żyje, to nędzne ciało pomoże mi dopóki nie znajdę lepszego.

-Więc giń, bo nie jesteś godna tego ciała. Wyzywam cię na pojedynek!- Potwory utworzyły krąg wokół nich.

Pierwsza wymiana ciosów była szybka i nie przyniosła żadnych efektów. Za to w kolejnej, przeciwnik Nikogo popełnił błąd i dał się zranic w nogę. Wtedy kobieta stanęła wyprostowana, a statek zaczął się zanurzać. Chłopak zmusił się i przemógł strach przed zranieniem ciała kogoś, kogo kiedyś kochał, skoczył na przywódczynię potworów. Statek zanurzył się i znaleźli się na niewielkim jeziorze na środku Chranu - krainy wiecznego niedostatku. Żadnej bestii już nie było, tylko królowa tej pustki i nicości.

Nieopodal znajdował się dziwny budynek. Chłopak poszedł tam, było to więzienie. Przepelniony jakąś tajemniczą siłą wewnętrzną, dotknął wielkich drzwi, a one otwały się. Ze środka wypełzła niezmierna rzesza ludzi. Rozejrzał się po nich, a potem spojrzął na statek.

-Szybko!- Krzyknął.

Wszyscy szli w kierunku ostatniej deski ratunku wołając: „Do nowej jutrzni!” albo „Prędko pierwsze za jutro!”

-O co im chodzi?- Zapytał idącej obok kobiety.



-Tu nie ma dnia, ani nocy... jest niemrawe światło przebijające się z trudem przez szare chmury. Legendy głoszą, że gdzieś jest więcej... Mówią o swoim pierwszym świcie i o nowym Jutrze, po którym Chran zginie.

Byli już niedaleko, wdrapywali się na statek. Nagle Bohater spostrzegł małą dziewczynkę, która została w tyle. Ruszył po nią. Złapał ją pod pachę i biegł. Wrzucił ją na statek i sam wskoczył w odmęt jeziora. Statek wynurzył się. Na brzegu stała Risuma z siostrą bohatera. Ale jego nie było. Nagle, tafłę wody rozdarła sylwetka wynurzającego się Nikogo. Nie wiem, czy ludzie wiwatowali na widok wybawiciela, czy przez rodzącą się w tej dokładnie samej chwili, ich nową jutrznię.

Syn Abdona miał wiele imion, bo imię jest względne i zbyt proste, by mogło nas wyrazić. Ty jesteś twoim imieniem...

Koniec?

Nie...

...Dopiero pierwsza jutrznia...